Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 30. Października 1898.

O nędzy ludu w Galicyi.

piszą do *Czasu*:

Tworzą się obecnie dwie legendy: jedna nie bez pewnej podstawy prawdziwej przedstawia w jaskrawych barwach i przesadnych kształtach wzmagającą się nędzę ludu wiejskiego — druga opowiada ważne historye, przeważnie wysnute z urojenia, o jakichś krzywdach, ucisku i poniewieraniu warstw ludowych, przez wyższe warstwy społeczeństwa wiejskiego. Że pisma ludowców lub socyalistów nie przestają się rozwodzić na ten temat, to rzecz prosta i naturalna — to ich rzemiosło.

Źle jednak, gdy na ten sam ton przesady odzywają się ci, których o złą wolę i złą wiarę nie można posądzać. Jeśli, co daj Boże, mamy się zabrać, — bo już ostatni czas, do dźwignienia stanu ekonomicznego i systematycznej pracy społecznej — należy legendę sprowadzić do realnego obrachunku, aby na samym początku nie odjąć odwagi tym, co działać mają głosami rozpaczy, do której nie ma istotnych powodów.

Słusznie *Czas* wytknął niezdrowy ton eligijny pisma ludowego *Krzyż*. W dziennikach lwowskich toczyła się niedawno dyskusya w kwestyi fornalskiej — a odparto zwycięzko ubliżające twierdzenie jednego z reformatorów społecznych, jakoby u nas dbano więcej o bydło robocze niż o wyżywienie fornali. Kto bywa na wsi, ten wie, że nasi fornale dobrze wyglądają, są silni i lepiej odżywiani niż samodzielni gospodarze na swych zagrodach.

Nie zatrzymując się nad tym jednym szczegółem kwestyi fornalskiej — ośmielam się twierdzić, że namnożyło się u nas galicyjskich Malthusów, którzy nędzą galicyjską wmawiają w ogół i rozgłaszają przed światem.

Galicya należy obecnie do najuboższych krajów nietylko monarchii, ale i Europy. Choć kraj ten nie najmniej żyzny, ani pozbawiony skarbów ukrytych pod ziemią — pozostaje jeszcze skutkiem skomplikowanych przyczyn, które wyliczać za długo i zbytecznie — w stadyum pierwotnej i jednostronnej produkcyi rolniczej, która obecnie w całej Europie najwięcej cierpi, a nigdzie już nie jest wystarczającą jako podstawa bogactwa i postępu ekonomicznego Skutkiem tego zacofania, tej jednostronności agronomicznej nie nędza, ale ogólna bieda panuje nad wszystkiemi warstwami społeczeństwa w różnych stopniach. W biedzie i kłopotach pogrążona znaczna część większej i cała średnia własność gruntowa — niektóre okolice ludności wiejskiej mniej żyzne a przeludnione wpadają częstokroć w nędzę i głód. Występuje ona gwałtowniej jeszcze wśród ludowych warstw miejskich niż wiejskich, które czekają na zajęcie i zarobek w fabrykach i przemyśle — o nim jeszcze wróble u nas śpiewają.

Temu wszystkiemu nie przeczę, ale pytam, czy od takich objawów nędzy są wolne kraje najdalej posunięte w rozwoju ekonomicznym, czy tam częstokroć nie występują w niezmiernie większej dysproporcyi wielkie fortuny i kapitały obok wzmagającego się pauperyzmu? Nie przeczę zastoju i biedy — lecz wyjątkowość nędzy galicyjskiej, zwłaszcza nędzy ludu wiejskiego, czy niezbyt czarno jest malowaną?

Książka p. Stanisława Szczepanowskiego rzuciła przed dziesięciu laty — jeśli się nie mylę — to słowo: „nędza galicyjska". Książka napisana z polotem i szlachetnością uczucia, temu autorowi właściwą, posługiwała się statystyką, poniekąd chemią, gdy obliczała na łuty pierwiastki, potrzebne dla odżywienia organizmu ludzkiego. Co do chemii, budzi ona pewne wątpliwości — gdy mianowicie spojrzę na dziatwę lub parobczaków naszych górali, którzy wyrośli na żurze i placku owsianym i porównam ich zwinność, siłę, rumiane oblicza i jędrne ciało, z młodzieńcami i dziatwą wyższych stanów, wykarmionych zbyt starannie. Wiadomo, że statystyka bywa giętką i usłużną, że z najlepszą wiarą można jej nadużyć. W statystyce, jeśli punkt wyjścia jest błędny, konkluzya wypadnie fałszywa, choć cyfry wybornie tego udowodnią. P. Szczepanowski twierdził, że 50.000 ludności ginie u nas rocznie z głodowej śmierci lub z niedostatecznego odżywienia — pocieszajmy się tem, że cyfry statystyczne uszykowane tu zostały według błędnego założenia. Swoją drogą byłoby pożądanem i do tego dążyć należy, aby nasz lud brał silniejsze pokarmy, niż je spożywa od wieków, żeby przywykł do mięsa i na niego zarabiał. Lud źle się odżywia, zwłaszcza na Rusi, nie zawsze z braku i z konieczności. Gdy skutkiem synodu unickiego we Lwowie, którego orzeczenia potwierdził Rzym niedawno — uchylono zbyt surowe posty, powtarzające się cztery razy do roku, lud mimo zachęty duchowieństwa do tych zwolnień zastosować się nie chce, bo do postów nawykł; woli on mało robić i mało jeść. Byłaby to zbawienna reforma obyczajowa, którąby ten stosunek odwróciła.

Nie mam pod ręką dat statystycznych, siedząc na wsi, ale znam lud nasz w różnych okolicach kraju. Nikt nie powie, aby lud podolski miał brak chleba. Znany jest dobrobyt włościan w okolicach Przemyśla, Jarosławia i Rzeszowa. Od Sanoka, Krosna, Jasła, po Gorlice rozciąga się okolica naftodajna, a tam miliony krajowych i obcych przedsiębiorców spłynęły pomiędzy zarobników górniczych, przypływają także krocie z Ameryki. Tam włościanin nietylko setkę, ale tysiączkę często pokaże, a znam wypadek, że jedna gmina złożyła kilkadziesiąt tysięcy zadatku w zamiarze kupienia dóbr od rządu. Z pod Mielca, Tarnobrzegu, Rozwadowa gospodarze chętnie puszczają się w dalsze strony, aby kupować folwarki na podział. W Tarnowskiem, Bocheńskiem, Brzeskiem, Dąbrowskiem a nawet w Limanowskiem i Nowotarskiem parcelowane wsie znajdują łatwo nabywców wśród włościan. W Wadowickiem i Bialskiem czynsze gruntów, wydzierżawianych włościanom, do wygórowanych dochodzą cen.

Zapewne są okolice uboższe, górzyste lub piaszczyste, gdzie za każdym rokiem nieurodzaju powraca głód. Wszędzie zaś jest gęsta ludność agrarna, liczniejsza niż w jakimkolwiek innym kraju; nadrost ten ciągle się wzmagający w braku fabryk i przemysłu, powoduje owe gminoruchy, bądź to emigracyj zamorskich, bądź to chodzenia za zarobkiem na Śląsk, do Pesztu, do Niemiec i do Danii. Przyznaję ujemne i groźne strony tego przypływu ludności, nie przeczę niebezpieczeństwu zbytniego rozdrobnienia ziemi na zagony, przyznaję wyzysk żywiołu, który wódką i kredytem niszczy ludność wiejską, jak podkopuje znów kredytem i monopolem handlowym większą własność.

Z tego jednak pospiesznego przeglądu różnych okolic kraju wynika wniosek, że owa straszna nędza ludu wiejskiego w połowie jest legendą, że od niej znaczna część kraju jest wolną. Gdybyśmy ściśle oznaczyli granice okolic uboższych i zamożniejszych i zakreślili mapę ruchu ludowego, doszlibyśmy do bardzo dziwnych obserwacyj, a mianowicie okazałoby się, że zarówno emigracya zaatlantycka, jak ruch ludowy, objawiający się na wiecach i w zaburzeniach, jakie były ich następstwem, szerzyły się nie w uboższych, lecz właśnie wśród bogatszych okolic.

Jaki stąd wniosek? Oto ten, że zarówno ajenci amerykańskiej emigracyi, jak ajenci ruchu ludowego, nie szukają biednej ludności, aby jej przynieść ulgę lub pocieszenie, ale szukają włościan zamożniejszych: pierwsi w celu prostego wyzysku, nadzieją złotych gór po za morzami; drugim zaś nie chodzi o podanie kordyału na istotną nędzę, lecz o bałamucenie głów tym, którym przy dobrobycie przybywa fantazyi.

Obok książki p. Szczepanowskiego, tak często cytowanej z upodobaniem przez dzienniki rosyjskie, książki, która w najlepszej intencyi dała popęd rozlicznym wywodom o drugiej Irlandyi, jest inne jeszcze źródło owej legendy o wzmagającej się nędzy ludu wiejskiego. Źródłem tem — beletrystyka. Nie wyjmując najznakomitszych z pomiędzy naszych powieściopisarzy, cały legion autorów i autorek rzucił się na temat czarnej, beznadziejnej doli ludu wiejskiego — gdzie nikt nie przyjdzie z pomocą, z radą, z ratunkiem: ani dwór, ani pleban, ani rząd, ani autonomia, ani żaden anioł opiekuńczy.

Ów ponury pesymizm beletrystyczny i poetyczny wytworzył szkołę, styl, manierę szablon. Każda niemal książka i każde pismo które się dostaje do chaty włościańskiej, niesie z sobą te jęki i skargi, to użalanie i to pożądanie czegoś innego, lepszego.

Nie przeczę, że ciężka to dola — i ponury horyzont — lecz gdy pada nań promień wiary i wyższej nadziei, to ta dola wydaje się swobodniejszą i horyzont ozłocony.

Zapewne dziś to już nie wystarcza, trzeba, aby kraj cały, aby wszystkie warstwy szły zgodnie ku postępowi materyalnemu, ku zwalczaniu biedy, ku wzajemnej pomocy, aby się rozwijała szeroko inicyatywa ekonomiczna, a gdy ruch ten objawi się u góry i w średnich warstwach przymnożeniem zarobku, rozszerzeniem zakresu ekonomicznego oddziała na dobrobyt ludu, na pobudzenie w nim potrzeb lepszego życia i na jego zaspokojenia.

Tylko jeden warunek: nie należy zaczynać od słów skargi, lecz od czynów, nie należy budzić wpierw żądz i apetytów, dopokąd się nie zapewni ich zaspokojenia.

Niezadowolenie ze swego stanu jest ogólną chorobą wieku, może silniej niż w każdym innym kraju i społeczeństwie grasującą u nas. W Polsce każdy chce być czemś więcej, niż tem, czem go Pan Bóg stworzył. Wszyscy żyjemy nad stan, a jeszcze wyżej chcielibyśmy się wznieść. Dotąd jeden tylko lud wiejski był od tej choroby wolny. Dlaczego? — pyta Lew Tołstoj w swych wyznaniach, lud wiejski, który najmniej używa, najwięcej znosi umartwień — najmniej się skarży, najlżej znosi ciężar życia? Odpowiedź na to pytanie zawiodła rosyjskiego romansopisarza na drogę wiary — kazała mu naśladować pobożność ludu...

W znakomitym swym referacie o kwestyach społecznych w Galicyi, O Henryk Jackowski na wiecu katolickim we Lwowie, przyczyny rozstroju sprowadził do jednego mianownika: „żądza używania i wstręt przed wszystkiem, co krzyż przypomina."

Wszyscy ulegamy tej męczarni, bo chcemy używać i zrzucić krzyż z barków. Dziś zaś pracujemy nad tem, aby tą chorobą ogólną niezadowolenia zarazić warstwy ludowe a odjąć mu pociechy i uczucie rezygnacyi z religii płynące.

Rozumiem to ze strony rewolucyonistów i socyalistów — oni idą do ideału zrównania ekonomicznego i kolektywizmu, oni nie mają pojęć chrześcijańskich o życiu doczesnem i życiu wiecznem. — Lecz ci, co głoszą naukę Chrystusa niech zważą, że choć wymagania ekonomiczne i społeczne mogą być w różnych epokach różne — prawda ewangeliczna się nie zmienia, godło krzyża nietylko godłem wiekuistego zbawienia, ale i chrześcijańskiego życia na ziemi. Tylko w tym duchu podjęta praca nad ludem, może mieć miano chrześcijańskiego socyalizmu.

Żydzi w Palestynie.

Żyjemy w czasach silnie rozbudzonego poczucia narodowości. Nie dziw, że i żydzi przypomnieli sobie, że byli kiedyś sławnym i potężnym narodem i zapragnęli przywrócenia dawnych stosunków, odbudowania królestwa Dawida. Przeprowadzeniem tego celu bawi się od lat kilkunastu sekta, znana pod nazwą „syonistów". Zwolennicy jej urządzają kongresy, na których rozprawiają o możliwości unarodowienia żydów, posiadają od roku nawet już własny, nawiasem mówiąc, wcale piękny hymn narodowy, a nie mogąc odebrać odrazu Turkom Ziemi świętej, zadawalają się na razie zakładaniem kolonii żydowskiej w Palestynie.

Później zamierzają syoniści podobno odkupić od sułtana Jerozolimę, a z biegiem czasu całą Palestynę i sprowadzić doń współwyznawców ze wszystkich stron świata.

Nie potrzeba być wcale antysemitą, aby wierzyć, że spełnienie pogróżek syonistów, to jest, gromadna emigracya żydów do Palestyny, w ostatecznych swych skutkach nie przestraszałaby zgoła narodów chrześcijańskich, chociażby żydzi nawet zabrali ze sobą wszystkie miliardy zdobyte na chrześcijanach w ciągu wieków.

Tymczasem o tem mowy być nie może. Zamysły syonistów — to fantazye, w których urzeczywistnienie sami żydzi nie wierzą i którego też wcale nie pragną.

Działalność ich ma tylko ten skutek, że budzi w tysiącach poczucie odrębności narodowej i mogłaby powstrzymać rozpłynięcie się żydów w społeczności chrześcijańskiej, gdyby taki proces, na ogół biorąc, nie był niemożliwy. Jako praktyczny owoc ich pracy, pozostaje kolonizacya Palestyny.

Przed laty 20 jeszcze wcale niewielu było żydów w dawnej ziemi żydowskiej. Opuścili oni po zburzeniu Jerozolimy kraj rodzinny i rozprószyli się po całym świe. Tylko w znaczniejszych miastach pozostały mniejsze lub większe osady. Po wsiach nie było ich wcale. Dziś posiadają żydzi dzięki syonistom w Ziemi świętej 27 zamożnych i ludnych kolonij wiejskich i liczba ich wzrasta z każdym rokiem.

Kolonizacya Palestyny rozpoczęła się w r. 1882, kiedy wielu żydów, skutkiem rozruchów antysemickich w Rosyi i prześladowań w Rumunii, opuściło te kraje i schroniło się do dawnej ziemi ojców.

W r. 1894 koloniści utworzyli konfederacyę celem koncentracyi pracy i wzajemnego poparcia. Do konfederacyi przyłączyła się utworzona w r. 1890 spółka londyńska i inne, istniejące w Odessie, Berlinie, Paryżu, Zurychu, Kopenhadze i Nowym Jorku. Zarząd związku ma siedzibę obecnie w Paryżu i utrzymuje w Jaffie komitet wykonawczy, składający się z 6 wytrawnych agronomów, który ściąga do Palestyny kolonistów żydowskich, wyznacza miejsca pobytu, zaopatruje ich we wszystko, co potrzeba do uprawy roli i kieruje ich pracą.

W roku 1895 komitet ten założył dwie nowe kolonie i pracuje obecnie nad utworzeniem trzeciej. Zajmują się one wszystkie przeważnie hodowlą wina i owoców południowych. W niektórych kwitnie przemysł jedwabniczy.

Najzamożniejszą z kolonij jest osada Syon, założona przez br. Edmunda Rotszylda. Leży o 5 mil na południe od Jaffy, a obejmuje 800 hektarów ziemi i liczy około 500 mieszkańców. Koloniści zajmują się prawie wyłącznie hodowlą wina i zasadzili dotąd półtora miliona szczepów winnych. W czasach ostatnich rzucono się także na uprawę drzew morwowych, których jest tam obecnie 20.000.

Syon posiada szkołę, bożnicę, bibliotekę szpital, a nawet łaźnie i przedstawia się ze schludnymi domkami i starannie brukowanemi ulicami bardzo pokaźnie.

Prawie połowę kolonii założyli po części za pomocą syonistów żydzi rosyjscy i polscy. Założona r. 1890 osada Recovoth, jest specyalnie warszawska. Lud mówi tam żargonem używanym w Królestwie Polskiem i w szkole nauka odbywa się w tymże języku. Czysto rosyjską jest założona w tymże roku osada Chodero, obejmująca 1.600 hektarów.

Leży ona bardzo niekorzystnie nad bagnem, wyziewającem trujące miazmaty i w pierwszych latach całe rodziny wymierały na febrę i tym podobne choroby, żydzi jednak nie opuścili niewdzięcznej okolicy. W roku 1896, bar. Edmund Rotszyld, podjął się osuszenia bagna, a koloniści dopomagali pilnie i dotąd połowę w obszarze 140 hektarów zamieniono na rolę uprawną i obsadzono krzewami.

Kolonie te dowodzą, że żydzi nie lenią się do pracy w roli i umieją ją wyzyskać. W niektórych spróbowano uprawy krzewu herbacianego, w innych uprawy kwiatów i wyrobu perfum, inne znów z wielkiem powodzeniem zajmują się jedwabnictwem. Najważniejszą z nich jest położona nad jeziorem Tiberias Rasz Pinah, która posiada fabrykę parową jedwabiu, zatrudniającą przeszło 50 żydów. Wiele kolonii powstało za staraniem wymienionego już kilkakrotnie Edmunda Rothszylda, który zakochany w projektach syonistycznych, wydaje na ten cel pokaźne sumy, procentujące się zresztą bardzo dobrze.

Kolonizacyą żydowska Palestyny zawdzięcza swe powodzenie okoliczności, że nie jest dorywczą, lecz systematyczną i kierowaną z Jaffy starannie i wyraźnie. Istnieje w tem mieście wielki zakład, pod nazwą „Mitażeh Izrael" (nadzieja Izraela) w którym przeszło 100 młodych żydów kształci się we wszystkich gałęziach gospodarstwa rolnego, z którego rozchodzą się koloniści, ogrodnicy i nauczyciele na wszystkie osady.

Kraj pod wpływem kolonizacyi, przybiera nowy wygląd. Gdzie niedawno, rosły ciernie i chwasty, rozciągają się dziś starannie utrzymywane plantacye pomarańcz, migdałów, kwiatów i wina, połączone dobremi, często brukowanemi drogami. Urodzajny a zaniedbany od kilkunastu wieków kraj, domaga się niejako mieszkańców, którzyby umieli przywrócić mu dawną płodność i naprawili ruiny. Rząd turecki nie sprzeciwia się kolonizacyi, a ludność arabska utrzymuje z kolonistami żydowskiemi dobre stosunki.

Nie ulega wątpliwości, że z biegiem czasu żydzi w Palestynie staną się potęgą ekonomiczną i będą tam żywiołem rzeczywiście pożytecznym i cywilizacyjnym. Pokazuje się, że w razie potrzeby, nie zbywa im ani na ochocie, ani na zdolności do gospodarstwa rolnego i zajęć uczciwych.

PRODUKCYA LITERACKA NA CAŁYM ŚWIECIE

Amerykanie posiadają rocznik prasy: „News-paper and Bank Direktory of the World", wydawany w New-Haven, podający tytuły dzienników, wychodzących w Ameryce, Europie, Azyi, Afryce i Australii. W ostatnim jego zeszycie są wyliczone nazwy dzienników w liczbie 300.000 z określeniem kierunku poszczególnego wydawnictwa. W samej Ameryce liczba gazet i przeglądów wynosi około 38.000 puszczających w świat 120 milionów egzemplarzy.

Gdyby rozwój prasy mógł służyć za miarę wartości intelektualnej danego kraju, to Belgia zajęłaby w Europie pierwsze miejsce. Mały ten naród posiada 4.700 organów drukowanych, czyli że na 1000 osób przypada jeden dziennik. Austrya posiada jeden dziennik na 72.000 mieszkańców.

Literatura, teatr i wogóle sztuki piękne są reprezentowane w Belgii przez 75 przeglądów i dzienników specyalnych, nie licząc przeglądów wyłącznie muzycznych. Filateliści posiadają ośm wydawnictw peryodycznych, a sport gołębi aż 23.

Liczba dzienników i prac peryodycznych wychodzących w Paryżu i wysyłanych pocztą przewyższa 20 milionów egzemplarzy.

Co do wydawnictw książkowych, Japonia utrzymuje najzupełniejszą przewagę, publikuje bowiem rocznie 25.000 tomów. Utrzymują, że jest to podwójna liczba drukowanych w Anglii i Francyi.

Z tej liczby w r. 1896 na półkach księgarskich ukazało się 5000 prac poświęconych prawu, 1800 religii i prawie tyleż astronomii. Wydano przeszło 1400 almanachów, co jest wprost rzeczą zdumiewającą. Poezya, literatura krytyczna i powieść wydały 2000 nowych prac. Co do dzienników Japonia posiada ich dotychczas tylko 800, ale liczba ta szybko wzrosła.

Po Japonii idą Niemcy. Z punktu proporcyi wydanych tomów i liczby mieszkańców, kraj ten musiałby ustąpić pierwszeństwa Francyi, a potem Anglii, kiedy bowiem we Francyi przypada jedna książka na 1.600 mieszkańców, to w Niemczech jedna na 2.000. Anglia trzyma się mniej więcej na tym samym poziomie. Holandya, Dania i Norwegia stoją w drugim rzędzie — w trzecim Szwecya, a za niemi następuje Rosya.

Wartość handlowa tych milionów tomów nie zawsze pozostaje w prostym stosunku do ich liczby. Zależną jest od zasobów danego kraju i od środków popularyzowania, jakiemi rozporządzają. Niemcy eksportują książki we wciąż wzrastającej liczbie. Przed piętnastu laty wartość tej produkcyi wynosiła 14 milionów zł., a w r. 1898 wzrosła do 30 milionów. Połowa tej sumy przypada na Austryę i Węgry. Największą klientelę posiadają w Szwajcaryi, Stanach Zjednoczonych, Rosyi, Anglii i Francyi. Francya otrzymując od Niemiec 2,000.000 tomów, wysyła im 2,700.000. Jest to jedyny kraj utrzymujący przewagę w wymianie książkowej z Niemcami.

Anglia może się pochwalić wielką, zbyt wielką płodnością. Autorki i nowelistki wyrastają tam jak grzyby po deszczu. Nakładcy miejscowi wydają około 800 powieści rocznie. Z tego wynika, że krytyk, sumiennie wypełniający swe obowiązki, powinienby odczytać trzy dziennie, rezerwując sobie jedynie na niedzielę parę godzin odczynku.

Rosya dąży do zwiększenia swych wydawnictw. W roku 1892 „Gazette de St. Petersbourg" pomijając wielką liczbę książek religijnych i popularnych, zaregestrowała 6588 prac 22,900.000 egzemplarzy) napisanych w języku rosyjskim i 2465 (6,100.000 egzemplarzy) w językach zagranicznych. W ciągu ostatnich lat cyfry te stały w mierze.

W roku 1887 wydrukowano we Francyi 12.900 prac i w tym samym okresie czasu 5350 kompozycyj muzycznych. W ciągu tegoż roku założono 706 nowych dzienników.

W roku 1850 na wydawnictwa wychodzące na całym świecie zużywano papieru 221 milionów kilogramów. Do naszych czasów liczba ta wzrosła prawie tysiąckrotnie. W samej Francyi, w ciągu 40 lat ilość zużywanego papieru wzrosła z 40 do 550 tysięcy beczek.

Chociaż autorzy współcześni odznaczają się zbyt wielką płodnością, to jednak czyż znajdziemy dziś takiego Hardyego, autora 600 tragi-komedyj, Lopes de Vegę, który dał 1800 sztuk wierszem, tak niepohamowanych w pracy autorów jak Kraszewski, Kotzebue i w. in.?

A jaka jest wartość tej olbrzymiej liczby drukowanych w naszych czasach arkuszy? Zapewne wieleby trzeba miejsca, aby odpowiedzieć na to pytanie. Jakikolwiek wypadłby wyrok najsurowszych bodaj krytyków, cyfry owe będą wymownym dowodem owego dążenia ludzkości do światła i nie okryją nas wstydem w oczach potomności. *P.*

ROZMAITOSCI.

Sarcey i Ivette. Jest mały skandal w prasie paryskiej: wojna Iwety Guilbert z Sarceyem. Znacie pewnie Iwetę Guilbert? Któżby nie słyszał o szansonistce rozkrzyczanej na świat cały, nad którą unosili się w zeszłym roku Berlińczycy na wiarę Paryżan i całe szpalty hymnów pochwalnych, na cześć diwy kawiarnianej, zapisywali w gazetach. Ci bo mają gust! Dla wszystkich, którzy nie dali sobie zawrócić głowy reklamą, Iweta Guilbert jest czemś potwornem, dowodem nietylko zepsucia, ale jakiejś dziwnej deprawacyi gustu publiczności. Proszę sobie wyobrazić wysoki suchar, długi na trzy łokcie, twarz szpetną, że na nią bez wstrętu patrzeć nie można. Wszystko jest brzydkie w tej kobiecie z wyjątkiem oczu, raz melancholijnych, to znów — darujcie wyrażenie — szelmowskich. Wychodzi taka gidya na scenę kawiarnianego teatrzyku, ubrana zwykle w ciemną suknię i w niezmiernie czarne, długie rękawiczki, trzymając ręce złożone, jak do modlitwy na piersiach. Małym i piskliwym głosikiem śpiewa piosenki ponure, specyalnie dla niej napisane, w których dramat ociera się o największe sprosności. Minę ma przytem karawaniarską, albo jak ją nazwał któryś z dekadentów — ekstazie, zdechłej wrony. Prawda, że on to porównanie uważał za najwyższy wyraz uwielbienia! Co się w niej mogło podobać, zrozumieć nie sposób. Reklamował ją wszyscy krytycy na przebiegi, podnosząc szczególniej ekspresyę i deklamacyę tej karykatury śpiewaczki.

W pochwałach tych trzeba przyznać, że i Sarcey ostatnim nie był. Widać, że mu się teraz oczy otworzyły, bo nietylko w *Temps*, gdzie pisze stale sławne felietony poniedziałkowe o teatrze, ale i we *Figarze*, w którym od niedawna prowadzi rubrykę „ziarnek zdrowego sensu" rozpoczął formalną przeciw Iwecie Guilbert kampanię. Szansonistka nie pozostała mu dłużną w odpowiedzi, a ma pióro równie wytworne, jak talent spiewaczki kawiarnanej. „Wszystko co pan Sarcey pisze, to zemsta przedajnego krytyka. Zostaje on na żołdzie Ginsburga, właściciela teatru Aquarium w Petersburgu, który chciał mnie na ten sezon do Rosyi zaangażować. Ponieważ inny impresario złożył korzystniejszą ofertę mojemu intendantowi, więc nie chciałam się dać eksploatować panu Ginsburgowi i ztąd gniew jego wspólnika i najmity pana Sarceya". List jest pełen wymysłów i obelg, a wielka artystka dochodzi do konkluzyi, że jeżeli p. Sarceyowi się nie spodobała, to mógł wyjść z przedstawienia, ale od profanowania sławy Francyi b'użnierczem piórem, wara krytykowi! Sarcey popełnia to wielkie głupstwo, że odpowiada. Miesza się do polemiki i pan Ginsburg, który zapewnia, że nigdy Iwety Guilbert nie miał zamiaru angażować, że ani bezpośrednio ani pośrednio nie wchodził z nią w żadne stosunki i nie zna jej wcale. Ona znowu replikuje i łącząc francuskiego krytyka z rosyjskim dyrektorem, łży tych, których nazywa spółką Sarcey Ginsburg. Rezultat z tego prosty: zrobi sobie reklamę i wzmocni się jej powodzenie, które tak widocznie słabło w ostatnich czasach. I teraz także bierze za występ 1.000 franków w koncertowej kawiarni „Scala". Gdy ją ktoś nieuprzedzony usłyszy i zobaczy, może sobie przypomnieć fajerwerk paradoksów z „Françillon" Dumasa syna w rozmowie Stanisława z hrabią:

„Nic mnie już nie dziwi, powiedz mi, że ty chodzisz z nogami w powietrzu, a ja na rękach lub na głowie, że cały świat spaceruje na wywrót, we wszystko uwierzę w dzisiejszych czasach".

Dzieci pułku. Zbytek jest podstawą bogactwa Francyi, trudno temu zaprzeczyć, ale z drugiej strony trudno też i nie przyznać, że wszystkie wystawy jubilerskie i magazyny mód nasuwają człowiekowi dziwne myśli i do szerzenia moralności nie przyczyniają się wcale. A jednak ludzie tu niegorsi od innych, przeciwnie gdy się pomiędzy nimi mieszka dłużej, łatwo się przekonać, że prócz zalet towarzyskich, uczynni są i chętni do pomocy w nieszczęściu. Nie zazdroszczą Francuzi kawałka chleba, jak Niemcy i można sobie na byt zapracować, byle umieć i chcieć coś robić. Pod tym względem mają podobną do polskiej naturę; cudzoziemiec zdobędzie tu często łatwiej majątek, niż krajowiec. A jaka ofiarność na publiczne cele, jak łatwo znaleść składkę na biedaka, jeżeli się tylko dobra sposobność nadarzy. Oto jeden z licznych przykładów. Niejaki Pascel, wyrobnik dzienny, odsłużył powinność wojskową, a teraz powołano go na trzynastodniowe ćwiczenia, do pułku konsystującego w Perpignan. Biedaczysko jest wdowcem i ma pięcioro dzieci, od dwóch do dziesięciu lat wieku. Wnosi podanie do ministeryum wojny o zwolnienie z manewrów, z przyczyny ubóstwa i niemożności pozostawienia swojego drobiazgu bez opieki. Ministeryum nie uwzględnia takich próśb i naturalnie spotyka Pascala odpowiedź odmowna. Jakże to pozostawić same takie dzieciaki na dwa tygodnie, kto się niemi zajmie i z czego żyć będą? Pascal nie namyślał się długo, zabrał swój drobiazg i z całą bandą zameldował się w Perpignan zwierzchności wojskowej, do koszar. W Prusach miałby się z pyszna za takie wykroczenie przeciw rygorowi wojskowemu, tutaj tymczasem nietylko że pozwolono mu mieszkać w koszarach z dziećmi, ale żołnierze zajęli się niemi jak niańki. Bawili się z dziećmi, nosili je na ręku, oddawali im swoje porcye jedzenia i nie dość że złożyli się na ubranie, ale postanowili zarządzić składkę w całym pułku i dopomagać stale ojcu do wychowania dzieci. 126 pułk liniowy adoptował dzieci Pascala za własne. Wszyscy uczestniczyli w składce i dał każdy co mógł, począwszy od pułkownika, a kończąc na ostatnim szeregowcu. Zawsze to przyjemnie słyszeć o takich rzeczach, bo to przekonywa, że nie każde zbiorowisko ludzi jest gromadą wilków, którzy się wzajemnie tylko pożreć chcieli.

Policya berlińska a paryska. Na policyę berlińską rozchodzą się z Berlina ciągle coraz nowe i coraz smutniejsze skargi na cały świat. Policyanci są skończonymi szelmami, a przytem niegrzeczni tak, jak tylko Niemcy niegrzecznymi być umieją. Policya paryska przeciwnie, narażona ciągle na niebezpieczeństwo życia i zdrowia z powodu zamieszek ulicznych, choć bywa tak często szkalowaną przez dzienniki partyjne, wzorową organizacyą jednak i doborem ludzi za wzór całej Europie posłużyć może.

Policya paryska dzieli się na dwa oddziały: jawnej policyi bezpieczeństwa publicznego i tajnej, śledczej, której agenci nie są obowiązani do noszenia mundurów. Do pierwszej zaciągają się wyłącznie wysłużeni żołnierze z pierwszeństwem dla tych, którzy otrzymali medal wojskowy, a każdy kandydat bezwzględnie posiadać musi świadectwo z pułku niepokalane. Sierżant miejski, taki ma tytuł urzędowy policyant, pobiera rocznej pensyi tysiąc dwieście franków, przy uwzględnieniu, iż musi mieszkać w obrębie rewiru, w którym odbywa służbę, a że w dzielnicach bogatszych bywa najmniejsza ciupka na strychu bardzo drogo kosztuje, trudno zrozumieć, jakim sposobem policyant paryski ze swojej pensyi wyżyć może. Najmniej sprawny wyrobnik zarabia dwa razy tyle. Są, co prawda, pięciolecia, które przynoszą po 200 fr. stałego dodatku, o ile władza nie ma żadnych przeciw sierżantowi zarzutów, ale te kończą się po 25 latach wysłużonych, tak, że policyant może po ćwierćwiekowej służbie otrzymać maksimum 2.000 franków rocznej pensyi. Za to musi on stać dwanaście godzin w ciągu doby na ulicy. Godziny służby są w ten sposób ułożone, ażeby nikt faworyzowanym nie był; przez trzy doby zatem każdy sierżant nietylko odbywa służbę przez 36 godzin, ale musi odbyć koniecznie wszystkie godziny dnia i nocy. Na skutek takiej organizacyi nie ma on godzin stałych ani na spanie, ani na jedzenie; dziś stoi od wschodu słońca do południa i od zmroku do północy, jutro znów od południa do wieczora i od północy do rana. W godzinach odpoczynku nie wolno mu się wydalać z obrębu rewiru i na każde wezwanie władzy bez oddzielnego wynagrodzenia stanąć musi do apelu, choćby na dwadzieścia cztery godzin, gdy tego zachodzi potrzeba.

Podczas ostatniego bezrobocia brukarzy wystawowych policyanci z kilku dzielnic czuwali przez trzy doby bez chwili wypoczynku. Jeżeli się do tego doda, że policyanci paryscy mają w instrukcyi kategoryczny nakaz, aby w stosunkach z publicznością byli grzeczni i uprzejmi, aby ułatwiali przejście przez ulice kobietom, dzieciom i kalekom, chroniąc ich od przejechania, że wreszcie broni nie wolno im używać chyba w najwyższej ostateczności, przyzna każdy, że nie jest to stanowisko godne zazdrości. Jedno ubranie na dwa lata i 1.200 franków pensyi, a za to jaka praca, jakie niebezpieczeństwo! I co za żelazne trzeba mieć zdrowie, aby wytrzymać życie tak nieregularne i zmiany atmosferyczne. Jedyny datek, jaki strażnikowi policyjnemu przyjąć wolno, to gratyfikacya osób urządzających u siebie liczniejsze zebrania, gdy chodzi o utrzymanie porządku na ulicy, przed domem przy zajeżdżaniu ekwipaży. Taka gratka nie często się trafia, a w dzielnicach uboższych nigdy; datek musi być dobrowolny, bo w razie dowiedzionego dopominania się, policyant byłby karany grzywnami, a nawet ewentualną stratą lub opóźnieniem podwyżki za pięciolecie.

Pomimo to, jakże ci ludzie sumiennie wypełniają swoje obowiązki, jak są uprzejmi i cierpliwi w stosunku z publicznością. Wszelkich objaśnień udzielają jak najchętniej, i fiakra zawołają na żądanie, i ruch powozów wstrzymają dla ułatwienia przejścia pieszym, gdy się liczniejsza zbierze gromadka. Prawda, że czasem za energicznie przykładają rękę do ramienia lub boku uczestników zbiegowiska, gdy nie są posłuszni ich nawoływaniom: *circulez, messieurs, circulez*. Forma wezwania jest uprzejma, a że ręka ciężka, to trudno, wszak policyant nie jest fryzyerem, ani operatorem odcisków. Można też czasem głowę stracić na ich miejscu, gdy otrzymają rozkazy, w których się trudno połapać. Każą im rozpędzać zbiegowisko manifestantów politycznych. Jakże ich rozeznać od obrońców porządku, gdy jedni i drudzy krzyczą: „Niech żyje Rzeczpospolita!"

Jeżeli pośród wichrzycieli znajdzie się jakiś deputowany, a zwykle bywa ich po kilkunastu, jakże ich policyant ma rozeznać od zwykłych śmiertelników, kiedy najczęściej ojciec narodu, pewny bezkarności, najbardziej się rozbija i najgłośniej krzyczy. Capnie go policyant albo tylko potrąci, interpelacya w izbie gotowa i biedny sierżant pokutuje potem zdwojonemi godzinami stójki nocnej. Można się wściec z taką dolą.

Siedzenie i chwytanie przestępców doprowadzone w Paryżu do ostatnich granic doskonałości, jest w równej mierze zasługą policyi bezpieczeństwa, jako agentów śledczych. Jedni bez drugich obyćby się nie mogli, a jedynie współdziałanie wzajemne daje takie znakomite rezultaty. Co prawda i publiczność w normalnych warunkach przychodzi im z pomocą; każdy wiedzący coś o sprawie, biegnie sam meldować się w cyrkule albo do najbliższego policyanta. Ale też ten policyant nie zasypia na stanowisku: patrzy ciągle dokoła siebie i obserwuje wszystko. Zna też mieszkańców swojego rewiru na wylot, może opowiedzieć zwyczaje i obyczaje każdego. Nowy przybysz bezwarunkowo zwraca jego uwagę.

W Paryżu paszport jest zbyteczny, a ujawnianie nazwiska potrzebne tylko w hotelach. Pomimo to ileż razy się zdarza, że listonosz wręcza list z niepewnym adresem przyjezdnemu w parę dni po przybyciu do Paryża. To policyant wskazał mu drogę, bo już zauważył nowego mieszkańca swojego rewiru i od chwili przyjazdu ma go ciągle na oku. Co do niebezpieczeństwa strażników policyjnych, to najlepiej o niem przekonywa statystyka, wykazując z przerażającą regularnością trzy śmierci rocznie skutkiem morderstw i wypadków, dwadzieścia kilka ciężkich ran a przeszło sto lżejszych obrażeń ciała i uszkodzenia zdrowia. W zamian za to przez lata całe nie notuje ona wypadku zabicia albo poranienia złoczyńców przez policyanta paryskiego. Ci nie nadużywają broni nawet dla obrony życia.

Dziś w Kole Literacko-Artystycznem o godzinie 8 wieczorem odczyt dra Kazimierza Ostaszewskiego-Barańskiego o literaturze rewolucyjnej 1848 roku. Wstęp dla członków „Koła" z rodzinami oraz dla osób zaproszonych.

Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie będzie otwarte począwszy od dziś 30 października br. w niedzielę od godz. 10 rano do 1 po południu, a w środę i w piątek od godz. 11 do 2 po południu.

„Dziennik Berliński" zaczął drukować w fejletonie oryginalną powieść współczesną pt.: „Ulubieniec kobiet", napisaną przez literata tutejszego p. Kazimierza Kalinowskiego.